

# Benedikt Liwzyc

---

## My i Zachód

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (13/14), 179-198

---

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Świadectwa

*Benedikt Liwshyc*

## **My i Zachód**

W końcu stycznia<sup>1</sup> Kulbin, który nieustannie korespondował z zagranicą, powiadomił mnie, że do Rosji przyjeżdża Marinetti. Odwiedzi Moskwę, a potem Petersburg: tak to z nim uzgodnił Tastiewien, który w charakterze delegata generalnego paryskiego Towarzystwa „Les Grandes Conférences” urządził jego odczyty w obu stolicach.

W Moskwie w tym czasie nie było nikogo z futurystów: Dawid Burluk, Kamienski i Majakowski odbywali *tournée* na Południu. Było to słynne *tournée*, w którym brał udział Siewierianin, a które zakończyło się jego kłótnią z Majakowskim.

Na parę dni przed przyjazdem Marinettiego w jednej z moskiewskich gazet pojawił się wywiad z Łarionowem: wódz promienizmu stwierdzał, że wodza futuryzmu należy obrzucić zgniłymi jajami, ponieważ zdradził zasady przez siebie samego głoszone.

W obronie gościa stanęli Malewicz, który odciął się od wojowniczych zapędów Łarionowa, i Szerszeniewicz, który uchwycił się nieszczęsnej notatki reportera, żeby zalać redakcję całym potokiem listów. W charakterze jedyne go przedstawiciela futuryzmu rosyjskiego on też witał Marinettiego na dworcu, ani bowiem Tastiewien, ani Aleksiej Tołstoj,

<sup>1</sup> Opiswane wydarzenia dotyczą roku 1914.

o którym już wówczas organizatorzy wszelkich uroczystości przypominali sobie w chwilach tragicznych, żadną miarą nie mogli uchodzić za będzian<sup>2</sup>.

O tym wszystkim my, mieszkańcy Petersburga, dowiedzieliśmy się z moskiewskich gazet, które, wierne swym obyczajom, nie omieszczały zgiełkiem powitać przyjazdu Marinettiego. Szczególną uwagą zaszczycała go „Now’” Suworina, codziennie zamieszczając wywiady, portrety, artykuły, dokładne sprawozdania z odczytów.

Zachwycając się temperamentem i oratorskimi zdolnościami Marinettiego, chwalać jego *esprit* i talent polemiczny, składając hołdy jego wirtuozerskiej deklamacji, prawie wszyscy dziennikarze odgraniczali jednak te osobiste cechy przywódcy włoskiego futuryzmu od głoszonych przezeń teorii. Skrupulatnie streszczając jego odczyty, gazety wolały pozostawić bez komentarzy wezwania Marinettiego do burzenia muzeów i bibliotek, jego szowinistyczne wykrzykniki, jego mizoginizm i inne okropności.

Kiedy rok wcześniej obłąkany Bałaszow pociął w Trietjakowce płótno Riepina, te same pismaki nie powstydzili się wytykać palcem Burluków, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że rzeczywistymi winowajcami szaleńczego czynu, jego prawdziwymi inspiratorami są heroldowie „lewej” sztuki.

Teraz jednak, czy to z tej racji, że chodziło o cudze skarby, czy że trudno było brać za dobrą monetę wściekłe hasła Marinettiego, czy wreszcie dlatego, że należało zachowywać pewne formy przyzwoitości wobec gościa, którego, gdyby był naszym rodakiem, dawno już ubrano by w kaftan bezpieczeństwa — nikt ani myślał stawać w obronie Michała Anioła, chociaż na jego Mojżesza zamierzał się już łomem Umberto Boccioni.

Wprost przeciwnie: nam, rosyjskim futurystom, stawiano nawet za wzór milusiego Marinettiego, który nie maluje sobie twarzy, nie ubiera się w pasiastą bluzę, nie urządza awantur.

Niestety, była to prawda. Heroiczne czasy włoskiego futuryzmu bezpowrotnie odeszły w przeszłość. „Krwawe” bitwy z paseistami w Mediolanie i w Rzymie, o których przy każdej okazji lubił wspominać Marinetti, stały się już domeną eposu. W nadziei, że przywróci utracony blask tak wcześniej ordzewiałej bojowej zbroi, wybrał się

<sup>2</sup> Tą nazwą określa autor futurystów — por. *Od tłumacza*.

Do barbarzyńskiej Rosji, ze strachem, ze łzami;  
Przybył, a tu go zewsząd otacza pieszczotka...

Nienawistnego wroga księżycowej poświaty, mizoginika, muzeoburcę, zjadłego przeciwnika filisterstwa, obsypywano kwiatami, uperfumowanymi damskimi liścikami, obwożono po galeriach obrazów, podejmowano bankietami. Jedynej możliwości skandalu — w Kółku Literacko-Artystycznym, gdzie przyjechał po odczycie w Konserwatorium i gdzie przypadkiem znajdował się Łarionow — niemal natychmiast zapobiegła interwencja kilku apostołów zgody, którzy postarali się wyłuskać z nawiązanej rozmowy wszystko, co kryło w sobie niebezpieczeństwo starcia.

W Moskwie Marinetti nie spotkał tedy żadnego z futurystów. Był to prawdziwy blamaż. Nie mogli nad nim przejść do porządku nawet reporterzy, którzy odnotowali, że włoski gość znalazł się w towarzystwie osób nie mających nic wspólnego z futuryzmem. Ktoś nawet zakpił, że z Marinettim powtórzyła się historia pewnego Hindusa, który przyjechał do Moskwy, by przy pomocy muzyki i świętych tańców głosić nową religię, a wylądował u „Maxime’a”.

Otoczony „paseistami”, młodymi fircykami i tymi właśnie starcami, którzy, mówiąc jego słowami, „są w błędzie nawet wtedy, kiedy mają rację”, Marinetti zużył się wreszcie: w ostatnim odczycie z goryczą stwierdził, że publiczność oklaskuje jego temperament, a nie idee. Ponadto nieobecność futurystów rosyjskich, do których chcąc nie chcąc musiał się zwracać zaocznie, stawiała wodza zachodniego futuryzmu w śmiesznym położeniu dowódcy bez wojska. Spieszno mu było do Petersburga, w którym spodziewał się innego przyjęcia: od moskiewskich sukcesów mdliło go nie na żarty.

W przeddzień przybycia Marinettiego do Petersburga Kulbin zwołał w swoim mieszkaniu coś w rodzaju narady. Koniecznie chciał wymóc na nas jednomyślną gościnność i zapobiec temu, co zdarzyło się w Moskwie.

Okazało się to niełatwe, jako że Chlebnikow i ja zajęliśmy nieprzejednane stanowisko. Bez żadnej zmywy uznaliśmy, że Marinetti swoją podróż do Moskwy traktuje jak wizytację, dokonywaną przez szefa organizacji w jednej z filii.

Temu zdecydowanie należało się przeciwstawić: nie tylko nie uważaliśmy się za odgałęzienie zachodniego futuryzmu, ale też nie bez podstaw

sądziliśmy, że w wielu sprawach nam, a nie włoskim pobratymcom, należy się pierwszeństwo.

W rzeczy samej, w tuzinie manifestów nadesłanych przez Marinettiego jeszcze z Mediolanu nie znaleźliśmy nic nowego dla siebie, zwłaszcza w tych trzech, które dotyczyły bezpośrednio literatury. Większość też włoskich futurystów bądź to stanowiła dla nas miniony etap, bądź połowiczne tylko rozstrzygnięcie zadań stojących przed nami wszystkimi. Zadania te, ma się rozumieć, nie wykraczały poza „technologię” sztuki, „filozoficzne” bowiem przesłanki włoskiego futuryzmu interesowały nas tylko teoretycznie: jednoimienny ruch w obu krajach zrodziły nazbyt różne przyczyny, żeby można było nie naciągając faktów mówić o jakimś wspólnym programie.

Przybycie Marinettiego i plotki, jakie wywołało to zdarzenie, utwierdziły mnie w zamiarze wystąpienia wobec szerokiego audytorium z odczytem na temat wzajemnego stosunku rosyjskiego i włoskiego futuryzmu. Na razie uważałem za konieczne opublikowanie manifestu, w którym będącnie odcinaliby się od grupy Marinettiego.

Tego samego zdania był Chlebnikow. Pozostali — Nikołaj Burluk, Matiuszyn, Lurie — zgodzili się z Kulbinem, z pianą na ustach dowodzącym niewłaściwości podobnej deklaracji, w której „nasz drogi gość” niechybnie dopatrzy się zniewagi. Kulbin zagrał nawet na patriotyzmie lokalnym obecnych, kładąc nacisk na to, że co Petersburg, to nie Moskwa, powinniśmy więc naprawić błędy naszych moskiewskich kolegów, pokazując, że jesteśmy prawdziwymi Europejczykami.

Ażjatom pozostał mi dwaj: Chlebnikow i ja.

Nazajutrz skoro świt przyszedł on do mnie, po czym w ciągu kwadransa ułożyliśmy proklamację, którą bezzwłocznie zawiózł do drukarni, żeby wieczorem można już było rozpowszechnić ją na odczycie Marinettiego.

Sala Giełdy Kałasznikowskiej była już pełna, a Chlebnikow, z którym byliśmy umówieni na pół godziny przed rozpoczęciem odczytu, nadal nie nadchodził. Kulbin dowiedział się skądś o naszym manifeście i tak samo jak ja nie spuszczał oka z drzwi.

Wreszcie w ostatniej chwili, kiedy na katedrze pojawił się Marinetti, do sali wdarł się blady, zdyszany Chlebnikow, przyciskając do piersi plik proklamacji. Wetknąwszy mi połowę zaczął szybko obchodzić rzędy, rozdając ulotki na prawo i lewo. Już w drukarni wprowadził do tekstu pewne poprawki, łagodząc wyrażenia, które wydały mu się zbyt ostre.

Nasza deklaracja, wydrukowana na kancelaryjnym papierze w niebieską kratkę, głośiła:

Dzisiaj poniektórzy tubylcy i włoska osada nad Newą z osobistych względów padają do nóg Marinettiemu, zaparlszy się pierwszego kroku sztuki rosyjskiej na drodze wolności i honoru, i chylą szlachetny kark Azji pod jarzmo Europy.

Ludzie, którym nie tęskno do chomąta na szyi, będą jak za haniebnych dni Verhaerena i Maxa Lindera spokojnie spoglądać na niecną peregrynację.

Ludzie wolni stanęli z boku. Pomni są prawa gościnności, lecz łuk ich napięty, a czoło srogie.

Cudzoziemcze, pamiętaj, do jakiego przyszedłeś kraju!

Koronki lokajstwa na baranach gościnności.

W. Chlebnikow

B. Liwshyc

Zanim zdążyłem rozdać choćby z dziesięć egzemplarzy, dopadł mnie Kulbin. Ze zręcznością, której nie sposób było się spodziewać po człowieku nie pierwszej młodości, wyszarpnął mi z rąk cały plik i wściekle drąc na strzępy swoją zdobycz popędził za Chlebnikowem, działającym już w ostatnich rzędach. Pierwszy raz w życiu widziałem Kulbina w furii: odchodził od zmysłów, samym spojrzeniem, zdawało się, zdolny był mnie i Chlebnikowa obrócić w popiół.

Nie wiem, co tam zaszło między nimi na drugim końcu sali, kiedy jednak Nikołaj Iwanowicz wrócił na estradę sprawiał wrażenie człowieka, który w biegu wyskoczył z pociągu. Nie miałem czasu rozmówić się z nim, Marinetti bowiem rozpoczął już prelekcję.

Zaczął w tonie minorowym — od utyskiwań na położenie współczesnych Włoch, przytłoczonych brzemieniem własnej wielkiej przeszłości i prostytuujących ją na każdym placu, gdzie zbiegają się zewsząd nieprzebrane tłumy ciekawskich.

— Turystyka to wrzód, który zżera ciało mojej ojczyzny! — wykrzykiwał z goryczą. — Nie kończący się najazd cudzoziemców nie tylko przeobraża żywy kraj w cmentarzysko przeszłości, ale nieustannie rozniecając zainteresowanie jego zabytkami, muzeami, galeriami obrazów i innymi sanktuariami, odcina nam, młodym i silnym, drogi dalszego rozwoju, każe nam pozostawać w niewoli dnia wczorajszego.

Widmo Michała Anioła jak senny koszmar prześladowuje mojego przyjaciela Boccioniego, nie dając mu pracować i tworzyć wielkich dzieł. Tak samo sprawy się mają z innymi rodzajami sztuki: z malarstwem, z muzyką, z poezją... Tymczasem prawdziwe oblicze Włoch to nie Florencja, nie Rzym, nie Wenecja, ale ośrodki przemysłowe — Mediolan, Genua,

Turyn. Tam już można obserwować, jak rodzi się nowe tempo, wynikłe z komplikacji miejskiego życia i z codziennego wzrostu techniki przemysłowej...

Poznaliśmy nowe piękno — piękno szybkości: jest nam ono dane w pędzie automobilu, w locie aeroplanu, musimy ucieleśnić je w sztuce! Dynamizm to podstawowa zasada współczesności!

Wszystko to było znane od dawna, stanowiło jedynie streszczenie starych manifestów, opublikowanych przed kilkoma laty. Nawet ci, którym pojęcie futuryzmu obito się tylko o uszy, nie mogli w odczycie Marinettiego dosłuchać się żadnych objawień. Niemniej cała po brzegi nabita sala jak zaklęta wpatrywała się w niewielką ruchliwą figurkę zżywieniem gestykulującą na katedrze.

Gestykulacja to niezupełnie właściwe miano dla tej błyskawicznej szybkości poruszeń następujących po sobie jak na filmie sztucznie przyspieszonym przez pijanego operatora. Demonstrując jak gdyby na własnym przykładzie możliwości nowej dynamiki, Marinetti dwoił się i troił, wyrzucając na boki ręce, nogi, wałąc pięścią w pulpit, ciskając głową, błyskając białkami, szczerząc zęby, jedną za drugą pochłaniając szklanki wody, nie zatrzymując się ani na sekundę, żeby złapać oddech. Pot strugami spływał po jego oliwkowej twarzy, wojownicze wąsy à la Wilhelm nie sterczały już do góry, kołnierzyk zmiękł, utraciwszy wszelką formę, on zaś nadal jak karabin maszynowy zasypywał audytorium ogniem bombastycznych frazesów, w których płynny romański okres co chwila deformował się w dźwiękonaśladowczych eksplozjach.

Porównywałem ten szamański taniec, tę niepohamowaną ekspansywność w każdym ruchu, ten ogłuszający słowny fajerwerk ze skąpym gestem starczej sinawej ręki, w którym Verhaeren umiał zawrzeć powściągliwą namiętność głębokiego przeżycia i natężoną moc po goetheańsku wzniosłej myśli. Podczas gdy petersburskie psychopatki wpijając się wzrokiem w nienagannie regularne rysy Włocha w myślach układały listy miłosne, które Eumenidy upatrzyły sobie zapewne jako karę godną mizoginika, a gazetowi kronikarze zapisywali w notesach nader oryginalne sądy o kipiącym temperamentem południowca, ja myślałem o czymś innym — o instynkcie *polis*, tak obcym nam, Rosjanom, i w takiej pełni znajdującym wyraz w duchowym obliczu Marinettiego.

Na katedrze szalał mediolańczyk, który szczerze uważał swoje rodzinne miasto za pępek świata. Nikt nie miał prawa obojętnie odnosić się do losów Mediolanu, były to bowiem losy samej ludzkości. Tylko fanatycz-

na wiara w światową misję *polis* utożsamianego z ojczyzną pozwalała wodzowi włoskiego futuryzmu obuwać się w koturny, nakładać tragiczną maskę i zawracać głowę dwóm kontynentom swoimi domowymi kłopotami, nie popadając przy tym w śmieszność.

— Wojna to jedyna higiena świata!... — wyteżał resztki sił. — Niech żyje militarizm i patriotyzm!... Precz z osłabiającym wpływem kobiety: trzeba nam bohaterów, a nie sentymentalnych trubadurów i piewców księżycowej poświaty!...

Jak mało podobny do naszych deklaracji był ten skończony program polityczny, który prezentował słuchaczom Marinetti! Wołał wprawdzie nie stawiać kropki nad „i”, ani się zająknął na temat tego, co w istocie kryło się u podłoża jego haseł, ale tego nie mogliśmy uczynić nie odzierając rzeczywistości z ostatniej romantycznej zasłony.

Zawzięte okrzyki Marinettiego były bowiem w istocie wyrazem namiętnego pociągu, wścieklej żądz klas posiadających na wpół rolniczego kraju, spragnionych za wszelką cenę własnego przemysłu, własnych rynków zagranicznych, samodzielnej polityki kolonialnej. Opiewana przez Marinettiego wojna trypolitańska i zanegowanie przyrody („Śmierć księżycowej poświacie: sławimy tropiki zalane elektrycznymi księżycami!”) były tylko różnymi przejawami jednej i tej samej siły, która pchała Włocha w tę właśnie stronę.

Futuryzm Marinettiego wbrew jego twierdzeniom okazywał się nie religią przyszłości, ale romantyczną idealizacją współczesności, a właściwie nawet aktualności — doktryną, która skupiała w sobie wszystkie główne dążenia młodego włoskiego imperializmu, apologią „dzisiaj”, prezentyżmem w czystej postaci...

Wychodząc z zakończonego burzliwymi oklaskami odczytu myślałem nie o zburzeniu składni, nie o eliminacji niektórych części mowy, nie o „słowach na wolności”... Te wojownicze wypadki przeciwko tradycyjnym zasadom połączeń wyrazowych wydawały się, być może, ultraekstremizmem tam, na Zachodzie, dla nas jednak stanowiły przebyte już etap...

Interesowało mnie co innego — polityczne podłoże włoskiego futuryzmu, tak różne od naszych radykalnych przekonań, od naszego anarchicznego buntarstwa... Nawet nie to podłoże samo w sobie, ale wnioski, które mimo woli nasuwały się przy zestawieniu obu postaci futuryzmu.

Stałem twarzą w twarz z bezspornym faktem: mimo zdecydowanego



rozejścia się ideologii naszej (nie grupowej — taka nie istniała! — ale każdego z nas z osobna) i Marinettiego, zgodziliśmy się z Włochami co do postulowanych celów formalno-technicznych, a w pewnej mierze zgoda ta dotyczyła również naszej praktyki twórczej.

Ten *casus* mógł mieć trojaki rozstrzygnięcie.

Po pierwsze, można było wyjść od tego, że różne przyczyny rodzą te same następstwa. Byłoby to najłatwiejsze wyjaśnienie, po prostu odfajkowanie problemu, który zaprzętała moją myśl: już elementarnie zdyscyplinowany umysł kwestionuje ingerencję przypadku tam, gdzie istnieje nadzieja na ustalenie jakiejś prawidłowości.

Po drugie, można było rozewać związek przyczyny i skutku: uznać, że czynniki, które określają ideologię, nie odgrywają decydującej roli w domenie estetyki... Cóż? Nie byliśmy przecież marksistami, ale zwolennikami „czystej” sztuki we Flaubertowskim rozumieniu tego terminu, twierdziliśmy, że samoistność tworzywa stanowi jedyny substancjalny element wszelkiej sztuki... Gdyby potrzebne były naoczne dowody niesłuszności tej teorii, to właśnie odczyt Marinettiego stanowił świadectwo najbardziej dobitne: nikt jeszcze nie wiązał tak prostolinijnie „technologii” z „polityką”, jak czynił to wódz włoskiego futuryzmu.

Pozostawała wreszcie trzecia hipoteza: przypuśćmy, że jednakoowe skutki wywoływane są przez tożsame przyczyny, innymi słowy, założmy, że również rosyjskie będziaństwo nie jest wolne od elementów nacjonalizmu, patriotyzmu itd., ale że w przeciwieństwie do Włochów, którzy otwarcie głoszą owe „przyczyny”, myśmy zapędzili je gdzieś do wnętrza, w jakieś ledwie namacalne głębie.

Będziaństwo nie stanowiło skończonego światopoglądu na wzór marinettizmu. Przewyciężając jako antydynamiczny zabobon tradycyjne przeciwstawienie tworzenia burzeniu nie pragnęło żadnej konsolidacji swoich tendencji, wzbraniało się przed przekształceniem ich w zastygłą formułę, w postulatory absolutne. Nade wszystko będziaństwo bało się przekształcenia w doktrynę, w dogmat. Pragnęło określić się tylko negatywnie i zgodziłoby się uznać w samym sobie system tylko pod tym warunkiem, iż wpięrowy udałoby się dowieść, że istnieje coś takiego, jak system temperamentu. Wszystkie tezy rosyjskiego futuryzmu w intencji jego twórców miały być przyjmowane nie jako niezmiennicze, poza nim leżące cele, ale jako punkt początkowy ruchu, zawarty w samym futuryzmie, jako zasada regulująca będziańską twórczość.

Brak jednak wspólnych (dla całej grupy) wytycznych filozoficznych i socjologicznych bynajmniej nie oznaczał naszej obojętności wobec zagadnień z tego zakresu. Wystarczy tu wspomnieć wiersze „Małorojskanki Milicy, lat trzynastu”, które zamieszczono w *Sadzyku* pod naciskiem Chlebnikowa:

Żebym tak skołała  
I niechajże w ziemi  
Pogrzebią mnie ruskiej!  
Nie będę się uczyć  
Wymowy francuskiej!  
Do książki niemieckiej  
Nie będę patrzała...

— wspomnieć nasz trójjęzyczny manifest albo proklamację z okazji przyjazdu Marinettiego, żeby przekonać się o czymś wprost przeciwnym. Jeśli nie wszyscy będąciani, to w każdym razie ich większość wikała się w skomplikowane obrachunki z Zachodem, uprzedzając swoim „wschodnictwem” przyszłe „scytyjstwo”. Moja prelekcja wygłoszona w sali szwedzkiego zboru nie grzeszyła może przekonującą argumentacją, ale jednego nie sposób było jej odmówić: rasowa teoria sztuki, na której się wówczas opierałem, zyskiwała w mojej interpretacji nader symptomatyczny kształt.

Co prawda, to „wschodnictwo” miało absolutnie metafizyczny charakter. Podobnie jak Chlebnikow, operowałem abstrakcyjnymi pojęciami Wschodu i Zachodu, nadając względnym kategoriom cechy bezwzględności, a wyjście z kolizji widziałem we wchłonięciu Zachodu przez Wschód. Te dwa bieguny kultury nie miały wyróżników terytorialnych: w ich mglistościach brak było jądra konkretnych formacji państwowych, były pozbawione granic przestrzennych, składały się z jakichś elementów kosmologicznych.

Wszelkie próby dopatrzenia się teraz, po latach, w tej metafizyce kultury jakichkolwiek subiektywnych tendencji nacjonalistycznych stanowiłyby naruszenie perspektywy historycznej: korona Trzeciego Rzymu od czasów Cuszimy przestała się marzyć nawet Briusowowi. Nerwowy dreszcz, wyczuwalny w brawach na sali, której (odnotowały to też gazety) przypadło do serca moje wezwanie do „uznania siebie za Azjatów i zrzućcia jarzma Europy”, świadczył jednak, że ponad naszymi głowami zaczęły się już nawoływać „demony głuchonieme”, bełkotliwie wysławiające się antytezami „rasowych” teorii.

\*

Zanim jeszcze ułożyło się program odczytu, trzeba było koniecznie wynaleźć kogoś, kto by zgodził się przewodniczyć dyskusji, policja bowiem, nauczona smutnym doświadczeniem naszych wieczorów, które prawie zawsze kończyły się skandalami, zezwalała na wystąpienia futurystów wyłącznie za poręczeniem szacownych profesorów, biorących na siebie odpowiedzialność za możliwe awantury.

Takiego poręczyciela znaleźć było trudno, albowiem po krótkim okresie żywego „flirtu” będzian i czcigodnych kapłanów akademickiej nauki, laurem koronowani starcy rychło doszli do przekonania, iż podtrzymywanie stosunków z futurystami to nazbyt ryzykowny sposób na odmłodzenie i że bezsensiem byłoby dzielić z nimi jedyne dobro, jakie mieliśmy im do zaoferowania: ogólnorosyjską hańbę.

Aby więc nie spłoszyć takiego weselnego starosty, trzeba się było imać różnych sposobów: wybierając się do niego na pertraktacje upychało się w najciemniejszym kącie wyciągniętą z butonierki drewnianą łyżkę, zmywało się ze swych policzków koniki i pieski miłośnie odrobione akwarelą, słowem, odgrywało się niewiniątko, co nigdy w życiu nie słyszało o żadnych skandalach.

Za każdym jednak razem szło to coraz trudniej. Nawet Baudouin de Courtenay, który przez pewien czas chętnie zgadzał się na nasze prośby, koniec końców doszedł do wniosku, że jego uczynność nie przyniesie mu ani honoru, ani zysku. Ponieważ mój wygląd i sposób bycia nie zdradzały pochodzenia z będziańskiego obozu, właśnie mnie przypadało podówczas w udziale niełatwe zadanie obłaskawiania starców. Sumiennie się z niego wywiązywałem, ale że szewc bez butów chodzi, przed własnym wieczorem zostałem bez przewodniczącego. Stało się to w następujący sposób.

Na pięć dni przed moim odczytem w Tieniszewce przypadał „Wieczór o nowym słowie” z dwiema prelekcjami: Szkłowskiego *O wskrzeszeniu rzeczy* i Piasta *O przyszłości i o przeszłości*. Na przewodniczącego zebrania, w którym uczestniczyć mieli przedstawiciele wszystkich kierunków literackich, postanowiono zaprosić Siemiona Wiengierowa.

Pozostawiwszy w domu czarny żabot, który nosiłem zamiast krawata i który sam już mógł mnie skompromitować, ruszyłem na Zagorodny do słynnego historyka literatury. Przyjął mnie uprzejmie, chyba nawet nazbyt uprzejmie — jak prezydent Republiki Francuskiej wodza jakiegoś afrykańskiego plemienia.

Wiengierow najwyraźniej wpatrywał się we mnie jak w gościa z innego świata. Zaczynałem już żałować, że nie zjawiłem się u niego z wymalowanymi policzkami: nie po to, żeby go epatować, ale żeby podkreślić własną niezależność, co było pragnieniem całkiem zrozumiałym.

Dyszając mi w twarz dopiero co spożytym obiadem przysuwał się do mnie blisko. Obfitość łupieżu, którym obsypany był kołnierz i ramiona jego surduta, budziła we mnie mimowolny dreszcz wstrętu. Kto wie, może ten właśnie łupież w większym jeszcze stopniu niż tamten, którym obsypywał karty Puszkiniowskich rękopisów, napawał świętą zgрозą uczniów, co nie potrafili oddzielić tego detalu powierzchowności mistrza od całej jego postaci? Częstokroć do elementów immanentnych zaliczamy absolutnie przypadkowe atrybuty, w ramy figur geometrycznych wtłaczając zapach tajemniczego medykamentu wionący spod odchylonej poły uniformu wykładowcy matematyki, albo też upatrując w brodawce dwakroć większej niż brodawka Fiodora Sołoguba, ze czcią omijanej przez golibrodę, absolut pan-dyrektorskiej władzy, na podobieństwo wieków średnich, które w *glandula pinealis* dopatrywały się siedliska duszy.

Ukończyłem fakultet prawa, a nie filologii, i to w Kijowie, a nie w Petersburgu: czy nie dlatego ze swobodą obcą zarówno Koli Burłukowi, jak Piastowi, oddzieliłem *accidentalia* od *essentialiów* — przerażające poddmuchy łupieżu od owych skarbów, które Wiengierow w ciągu dziesięcioleci omiatał swą brodą Puszkiniowskiego Czarnomora? Leżały w płaskich gablotach — właściwie nie one same, ale ich fotokopie — bruliony wierszy i prozy Puszkina, odgródzone od ich posiadacza nie szybą — o, nie! — ale niewzruszonymi pokładami owej absolutnej obcości, jaka możliwa jest tylko między mieszkańcami dwóch różnych układów planetarnych. Pozostawały w niewoli u człowieka, którego miłosny do nich stosunek sam w sobie wydawał mi się szyderstwem, a chociaż mnie, koledze ludzi, którzy strącali Puszkina z „parowca współczesności”, zupełnie nie wypadało chwycić się roli wyzwoliciela—Rusłana, niepomny celu mojego tutaj przybycia, nieoczekiwanie wygłosiłem całe przemówienie, którego zuchwałość szła o lepsze ze szczerością.

Wiengierow osłupiał: prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu zdarzyło mu się paść ofiarą ataku ze strony, której niedosięgłość mniej w nim budziła wątpliwości niż własne istnienie.

Zwabieni moim podniesionym głosem, w drzwiach stłoczyli się „adiunkci”, którzy zapewne tkwili nad papierami w sąsiednim pokoju.

W ich uśmieszkach i urywkowych replikach doczytałem się nie ironii, ale solidarności miarkowanej jedynie estymą wobec nauczyciela, zachęcony więc przez ten dialog młodości z młodością, rozhulałem się na dobre. Kiedy się zatrzymałem i przypomniawszy sobie powierzoną mi misję spróbowałem przejść do rzeczy, było już za późno: odmowa Wiengierowa nie wymagała żadnej motywacji.

Nie nalegałem, albowiem nawet dużo zręczniejszy dyplomata nie podjąłby się zmienić tonacji nagle ustalonych stosunków. Tak czy owak doceniłem jeśli nawet nie uprzejmość gospodarza, to w każdym razie metodyczność naukowca, kiedy Wiengierow żegnając się ze mną wręczył mi blankiet ankiety z prośbą o jej wypełnienie dla redagowanego przezeń *Słownika pisarzy rosyjskich*.

Zakrawało to niemal na kpinę, jako że moje aktywa, nie licząc utworów rozproszonych na łamach będziańskich edycji, sprowadzały się podówczas jedynie do *Fletni Marsjasza*, toteż oblekanie się w „encyklopedyj suknie ociężałe” wydawało mi się przedwczesne. Karteluszek jednak wziąłem, postanawiając sobie, że nie zwrócę go Wiengierowowi, po czym prosto z Zagorodnego pojechałem na Kadecką Linie do Baudouina de Courtenay.

Przeżywając przygodę z Wiengierowem jak zwycięstwo (czyje? nad kim? — trudno by mi było wówczas na to odpowiedzieć), wkroczyłem do gabinetu Baudouina, który mieszkał ni to w gmachu uniwersytetu, ni to gdzieś w pobliżu.

Nazwisko tego „czerwonego” profesora — taką sławą cieszył się wśród studenterii — nasuwało mi wszelkie asocjacje, prócz tego, co odtąd, od pierwszego naszego spotkania, zaczęło mi się z nim kojarzyć. W wyobraźni rysował mi się ten potomek krzyżowców, liczący sobie wśród przodków trzech bizantyjskich cesarzy, jeśli już nie na podobieństwo francuskich rycerzy z kolorowych obrazków w dziecięcym „Mon Journalu”, to w każdym razie jako współczesny Rochefort czy Déroulède. Jego oddanie się językowi rosyjskiemu wydawało mi się takim samym żartem historii, jak surdut Napoleona na zębatych murach Kremla: te dwa zjawiska pozostawały zresztą ze sobą, o ile się nie mylę, w związku przyczynowym. Postać akuratnego staruszka, w swym wyglądzie skupiającego cechy powierzchowności owych zrujnowanych polskich ziemian, co do wybuchu wojny obsiadali kijowskie kawiarnie Semadeniego i hrabiny Komarowskiej, była dla mnie nie pierwszym w życiu dowodem, że słowoobraz żyje własnym, samodzielnym życiem.

Poza tym uderzył mnie z galicyjska ukraiński akcent kontynuatora dzieła Dala. Zaświtało mi w głowie, że przecież związki stanowiące podstawę większości substancji aromatycznych mają zupełnie inny zapach niż ich powszechnie stosowane roztwory. Któż może zaręczyć, że język praruski, gdyby zabrzmiał obecnie, w sposobie wymowy nie okazałby się bliższy obecnym narzeczy południowych czy północnych? W prostocie ducha wyobrażałem sobie Baudouina rosyjskim Littre, zatopionym w chemiczno-laboratoryjnej analizie naszego rdzeniosłowa, pochylonego nad kolbami i retortami, z których w każdej chwili buchnąć mogło coś jeszcze bardziej zaskakującego niż ukraińska wymowa. Aczkolwiek z dociekaniem Chlebnikowa Baudouinowskiej pracy nie sposób było porównywać, nie bez estymy spoglądałem na redaktora reedycji słownika Dala.

Specjalnie nawet nie zadając sobie gwałtu udało mi się wydobyć ze swego głosu te właśnie nuty, jakich trzeba było, by skłonić uczonego filologa do objęcia przewodnictwa na „Wieczorze o nowym słowie”, a zarazem dyskusji, którą uwieńczyć miała *Nasza odpowiedź Marinettiemu*. Baudouin kazał się tylko zapewnić, że nie będzie żadnych skandalów, i uprzedził mnie, że przy pierwszej próbie naruszenia przyzwoitości natychmiast opuści salę. Tą groźbą najmniej się przejąłem: ważne było dla nas pozyskanie jego nazwiska z myślą o gubernatorze miasta, reszta miała dla nas trzeciorzędne znaczenie.

Baudouin de Courtenay dotrzymał słowa. Widząc obok siebie na estradzie jednego futurystę w brokatowej bluzie przerobionej z kapłańskiego ornatu, drugiego zaś z krawatem przyczepionym bynajmniej nie tam, gdzie winien by się pysznić, natychmiast podniósł się z miejsca i oznajmił wszem i wobec:

— Wprowadzono mnie w błąd. Podesłano mi zupełnie przyzwoitego młodego człowieka (tu oburzony gest w moją stronę), który zapewnił mnie, że wszelkie formy przyzwoitości będą zachowane. Widzę jednak, że trafiłem do domu wariatów. Nie pozwolę moim nazwiskiem maskować tej komedii.

Wyszedł wśród hucznych braw, a jego miejsce zajął Kulbin, który pomyślnie doprowadził wieczór do końca.

Utraciwszy możliwość zapraszania takich „generałów”, jak Wiengierow i Baudouin, chcąc nie chcąc zmuszeni byliśmy z Luriem zadowolić się przyzwoiciem na naszym wieczorze najmilszego Nikołaja Iwanowicza. Kulbin nigdy nie był od tego, żeby podjąć się tej zaszczytnej misji, mnie

jednak jego występ w charakterze naszego mistagoga nie bardzo satysfakcjonował: nie mówiąc o tym, że od dawna już zaczął się powtarzać, bez końca wracając do receptury przerobu biegu końskiego na łyżkę cynową, jego końcowe słowo z reguły macerowało ostrość wszelkich twierdzeń. Znaleźć jednak innego przewodniczącego było zbyt trudno, tym bardziej że na naszych afiszach i programach, dopuszczonych do druku już 3 lutego, czyli na pięć dni przed „skandalem” w Tieniszewce, umieszczono nazwisko Baudouina de Courtenay.

Marinetti, nie czekając na naszą odpowiedź, wyjechał do Moskwy. Tam, jak zakpiła pewna gazeta, od przedstawicieli włoskiej kolonii w Petersburgu dowiedzieć się musiał o oskarżeniach, które wytoczyliśmy przeciwko zachodniemu futuryzmowi.

Wątpię zresztą, by obecność na naszym wieczorze wiele Marinettiemu wyjaśniła: mój odczyt był właściwie rozwinięciem tego jakie wypowiadałem w rozmowie z nim u Kulbina i w trakcie późniejszych naszych spotkań. Podkreśliwszy różnicę między włoskim futuryzmem, który we wszystkich dziedzinach sztuki utrwał się jako nowy kanon, a rosyjskim będzianstwem, które odżegnywało się od wszelkich formuł pozytywnych, przeszedłem do analizy przyczyn, determinujących powstanie futuryzmu we Włoszech i nadających mu jaskrawo wyrażony charakter narodowy. W wyczerpujący sposób rozpatrzywszy podstawowe manifesty naszych zachodnich imienników, nieznanie jeszcze szerszej publiczności, przeciwstawiłem programowym teozom „marinettistów” konkretne osiągnięcia będzian.

Ponieważ jednak spór o futurystyczne pierworództwo, moim zdaniem, dawał się rozstrzygnąć jedynie w ramach ogólnych porachunków Zachodu ze Wschodem, uznałem za konieczne postawić zagadnienie szerzej — aż do granic wyznaczonych przez nasz troisty manifest, to znaczy rozgraniczyć dwa systemy estetycznej recepcji świata — na przestrzeni całego stulecia. Podbudowując każde twierdzenie faktami, postarałem się objaśnić wszystko, czego nie dopowiedzieliśmy w naszej bełkotliwej deklaracji. Do głębi pewien własnej racji, upatrywałem w braku na Zachodzie wycucia tworzywa jeden z głównych symptomów nadciągającego kryzysu sztuki europejskiej.

— Nikt chyba w Rosji nie czuje się Azjatą bardziej niż my, ludzie sztuki: dla nas Rosja to rdzenna część Wschodu — nie poznając własnego głosu zbliżałem się do końca półtoragodzinnej prelekcji.

— Nie zewnętrzne przejawy służą nam za dowód naszej przynależności

do Wschodu: nie więzi rosyjskiego malarstwa ikon z perską miniaturą, rosyjskiego *lubka* — z chińskim, rosyjskiego witrażu — z orientalną mozaiką albo rosyjskiej czastuszki — z japońską *tanką*. Wszystko to, ma się rozumieć, nie przypadek, ale nie jest to aż tak ważne.

Znacznie istotniejsze jest co innego: nasze absolutne zespolenie z twórcy-  
wem, nasze wyjątkowe jego wyczucie, nasza wrodzona zdolność przeisto-  
czenia, która usuwa wszelkie ogniwa pośrednie pomiędzy twórcy-  
wem i twórcą — słowem, to wszystko, co tak słusznie i wnikliwie dostrzegają  
w nas Europejczycy i co im samym zawsze pozostaje niedostępne.

Tak, wyczuwamy twórcywo nawet w tym jego stanie, w którym nazywa  
się jeszcze materią gwiazdową, przez to zaś właśnie my jedynie możemy  
budować i budujemy naszą sztukę z elementów kosmicznych. Skroś  
ulotnych form naszego „dzisiaj”, skroś tymczasowych wcieleń naszego  
„ja” sięgamy do źródeł wszelkiej sztuki — do kosmosu. Podobnie jak  
dla Jakułowa wszystkie problemy malarstwa dane są i rozstrzygają się  
w obrocie dysku słonecznego, w proporcjach ciepła i zimna, dla mnie na  
przykład trzy stany skupienia słowa to nie przypadkowa i umowna  
analogia, ale prawidłowe odbicie trychotomii kosmosu.

Jeżeli nawet kosmiczne światoodczucie Wschodu nie wzbogaciło się  
jeszcze o końcowe realizacje, to winę za to ponosi przede wszystkim  
hipnoza Europy, za którą nauczyliśmy się wlec w ogonie. Otwierają się  
nam oczy dopiero w tragicznym momencie, gdy Europa w poszukiwaniu  
Wschodu sprowadza nas na powrót do nas samych.

Nie po raz pierwszy odgrywa się ten zaiste haniebny spektakl. Nie po  
raz pierwszy okradając nas z miną niedbale roztargnioną zachęca się  
nas do kupienia naszej własności plus myto w formie uznania hegemonii  
sztuki europejskiej.

Czy kiedyś wreszcie się ockniemy?

Czy kiedyś wreszcie — nie wstydliwie, ale z dumą — uznamy siebie za  
Azjatów?

Tylko bowiem odnajdując swe orientalne źródła, tylko uznając się za  
azjatycką, sztuka rosyjska wkroczy w nową fazę i zrzuci haniebne  
i idiotyczne jarzmo Europy — Europy, którąśmy od dawna przerośli.

Aplauz, z jakim publiczność przyjęła moje końcowe hasła, chociaż nie  
miał ironicznego charakteru, wzbudził we mnie mieszane uczucia.

Rozumiałem, że ta metafizyka kultury, o której mówiłem wyżej, i która  
była dla mnie „arką będziańskiego testamentu”, w bardzo niewielkim



stopniu interesowała audytorium. Losy sztuki rosyjskiej pozostawały mu obojętne. Jeżeli cokolwiek przyciągało jego uwagę, to tylko szowinistyczne desenie, które mimo woli pojawiały się na tych bańkach mydlanych, jakie wypuszczałem w pogoni za Marinettim.

Ponieważ szczerze uważałem się za osobę apolityczną, peszyła mnie ta nacjonalistyczna fala, podniesiona przeze mnie z głębin, w które wcale nie miałem zamiaru zaglądać. Peszyła nie tyle przez swoje specyficzne zabarwienie, ile przez zmaczenie lustrzanej powierzchni, winnej, w moim przekonaniu, odzwierciedlać beznamiętne oblicze „czystej” sztuki.

Ten nerwowy dreszcz był mi równie wrogi, co nowa *sensibilita*, o której na każdym kroku prawili Marinetti. Zarówno włoscy futuryści, jak ci, co wyłuskując z moich haseł „metafizyczne” jądro pozostawiali sobie tylko ich zewnętrzną powłokę, dobrze wiedzieli, czego chcą. To tylko ja płątałem się w fałdach rozsuwającej się kurtyny, nie dostrzegając dekoracji wyrastających za moimi plecami, jedynie po interferencji własnego głosu domyślając się zmian w otaczającym mnie środowisku.

*Przełożył Adam Pomorski*

### Od tłumacza

Benedikt Liwshyc (1887–1939) to poeta, tłumacz, prozaik, członek–założyciel grupy rosyjskich kubofuturystów „Hylaea”. Wydał cztery zbiory własnych wierszy: *Fletnia Marsjasza* (Kijów 1991, 150 egz.), *Wilcze słońce* (Moskwa 1914), *Pathmos* (Moskwa 1926), *Południe w Krotonie* (Moskwa 1928) — przedmiotem eksperymentu artystycznego jest w nich kompozycja i składnia poetycka; tom wzorowych przekładów liryki francuskiej od Lamartine’a do surrealistów — w 2 wyd. (Leningrad 1937) obejmował 100 wierszy; garść wypowiedzi teoretycznych i krytycznych oraz „memuary”, w pierwotnej wersji opublikowane w Nowym Jorku przez Dawida Burluka (1931), w ostatecznej postaci — *Półtoraokiego strzelca* — w Leningradzie w 1933 roku. Styl i pozór wspomnieniowy spokrewnia tę książkę z prozą Osipa Mandelsztama, bardzo podówczas bliskiego Liwshycowi; w istocie jest to raczej — w myśl sformułowania autora — „polemika z przeszłością i na temat przyszłości”, przybierająca charakter ideowego pamfletu. Książka należy raczej do epoki, w której powstała, niż do okresu, który opisuje; kontekst zwycięstwa stalinizmu i hitleryzmu każe autorowi

zrewidować genezę ideową ruchu awangardowego i rozważyć jego powinowactwa z ideologiami totalitarnymi. Zarzut tego nieprawego pochodzenia, okreśłany przez Liwszyca samobójczym mianem „rasowej teorii sztuki” (we francuskim, etnokulturowym sensie pojęcia rasy), udrastyczniony przez zestawienie z antysemitycznym rasizmem ruchu masowego, jakim była rosyjska „czarna sotnia”, koresponduje z podobnymi zarzutami, które z odmiennych pozycji wysuwał choćby Lukács, a po dziś dzień podnoszą krytycy awangardowej ideologii. Nie rozstrzygając o racjach w tym sporze wypada stwierdzić doniosłość samej polemiki. Książka Liwszyca, literacko piękna, faktograficznie miejscami jest jednak dosyć bałamutna. Autor padł ofiarą zbrodni stalinowskiej (oto fragment wspomnień kobiety skonfrontowanej z nim w 1939 roku podczas „aktywnego śledztwa”: „Nie poznałam go. To była krwawa szmata, którą — prawie w powietrzu — podtrzymywano z dwóch stron, potrząsając po każdym pytaniu śledczego. A stamtąd zamiast odpowiedzi rolegały się nieartykułowane jęki”).

Tytuł prezentowanego tu w wyborze rozdziału *My i Zachód* jest zarazem tytułem „trójjęzycznego” manifestu Liwszyca, Luriego i Jakułowa, opublikowanego przez Appollinaire’a w nrze CVIII „Mercure de France” z 16 kwietnia 1914 (który z kolei stanowił parafrazę odczytu Majakowskiego z 11 listopada 1913: *Zachód i my*).

„Będzianie” (*budietlanie*) to neologistyczna rusyfikacja „futurystów”, autorstwa Chlebnikowa: nazwy tej używali wyłącznie kubofuturyści rosyjscy oraz krąg Malewicza. „Scytyjstwo” to późna (od ok. 1913) mutacja ideologii słowianofilskiego anarchizmu rosyjskiego, powstała za sprawą Razumnika–Iwanowa w kręgu eserowskim, niezwykle wpływowa w środowisku modernistów; po 1922 znalazła kontynuację na emigracji w koncepcjach „euroazjatyizmu”. Związków rosyjskiej awangardy kubofoturystycznej z ruchem eserowskim nie sposób przecenić: bezpośredni udział w tym ruchu mieli bracia Burlukowie, Chlebnikow, Kamiński, Szkłowski i inni twórcy. „Demony głuchonieme” to historiozoficzna metafora wywiedziona z utworu Tiutczewa przez Maksymiliana Wołoszyna w cyklu wierszy poświęconych Wielkiej Wojnie i rosyjskiej wojnie domowej. Cytat poetycki na s. 181 — z *Mądre mu biada* Gribojedowa.

Opisywana wizyta Marinettiego w Rosji miała miejsce między 26 stycznia a 17 lutego 1914 roku.

**Niektóre postaci i nazwy pojawiające się w tekście:**

**BAŁASZOW** Abram, obłąkany fanatyczny raskolnik; w 1913 z okrzykiem: „Dosyć krwi!” uszkodził nożem płótno Riepina *Car Iwan Groźny z synem Iwanem*; podjęta przez braci Burluków (na dyskusji „Waleta Karowego” 12 lutego 1913 i późn.) epatująca estetyczna interpretacja tego czynu ściągnęła na nich ataki prasy.

**BAUDOIN DE COURTENAY** Jan Nicisław, 1845–1929, językoznawca polski, twórca rosyjskiej kazańskiej szkoły językoznawstwa, w 1922 kandydat mniejszości narodowych na prezydenta Polski.

**DAL** Władimir, 1801–1872, lekarz, prozaik rosyjski ze „szkoły naturalnej”, twórca czterotomowego opisowego słownika języka rosyjskiego, którego reedycję wzbogaconą m. in. o obscena opracował Boudouin de Courtenay (3 wyd. 1903–1909, 4 wyd. 1912–1914).

**DÉROULEDE** Paul, 1846–1914, francuski pisarz i polityk, prawnik nacjonalista, antyrepublikanin, jeden z przywódców ruchu antydyfufusistów.

**JAKUŁOW** Gieorgij, 1884–1928, rosyjski malarz, scenograf i teoretyk sztuki z kręgu awangardy; od 1905 r. rozwijał własną teorię koloru i światła („teoria wielobarwnych słońc”), w której analizę sztuki chińskiej brał za podstawę własnego „azjatycko-europejskiego stylu. Broniąc priorytetu i niezależności swej teorii od symultanizmu Delaunayów, z którymi latem 1913 r. we Francji dyskutował niektóre zagadnienia, 30 grudnia tegoż roku, w 8 dni po prelekcji Smirnowa prezentującej założenia symultanizmu, wygłosił w „Bezpańskim Psie” odczyt o malarstwie, a w dzień później podpisał wspólny z Liwszycem i Luriem manifest, przedrukowany potem przez Apollinaire’a. Po śmierci Jakułowa, w latach trzydziestych, Delaunay stanął na czele komitetu mającego opracować monografię artysty (Picasso, Cendrars, Gleizes, Metzinger, Chagall, Prokofiew i in.); istniejące dziś w Paryżu Towarzystwo Przyjaciół Gieorgija Jakułowa wydaje stały biuletyn.

**KULBIN** Nikołaj, 1868–1917, *privat-docent* Wojskowej Akademii Medycznej, lekarz Sztabu Generalnego, rzeczywisty radca stanu, malarz, grafik, inspirator ruchu artystycznego awangardy rosyjskiej, stały bywalec „Bezpańskiego Psa”.

**LINDER** Max (właśc. Gabriel-Maximilien Leuvielle), 1883–1925, francuski komik teatralny i filmowy; 21–28 listopada 1913 występował w Petersburgu w teatrze Zona, 21 listopada podejmowano go w „Bezpańskim Psie”; z futurystów ostantacyjnie wrogo odnosił się do tego *tournée* Chlebnikow, zycliwiej (lecz pod pseudonimem) Majakowski.

**LURIE** Artur, 1892 albo 1893–1966, kompozytor, w późniejszych latach bliski przyjaciel Achmatowej, wbrew twierdzeniu Liwszyca bynajmniej nieobojętny wobec twórczości poetyckiej będzian — napisał muzykę m. in. do sztuki Chlebnikowa *Pomyłka śmierci*, do *Naszego marsza* Majakowskiego itd. O swej teorii muzyki po latach mówił: „Teoria moja polegała na tym, że wszystko na świecie zawierało się w sztuce, aż do brzmienia przedmiotów. Teoria ta była właśnie tym, co ostatnimi czasy zaczęto nazywać «muzyką konkretną», a co potem wyrodziło się w eksperymenty elektroniczne” (1965).

ŁARIONOW Michaił, 1881–1964, rosyjski malarz i scenograf, organizator grupy „Ośli Ogon”; 1910–1911 stworzył serię prymitywistycznych obrazów i grafik, tzw. cykl „żołnierski” z okresu służby wojskowej. Wraz z żoną, Natalią Gonczarową, po okresie impresjonizmu przerzucił się do kubizującego ekspresjonizmu, od grudnia 1912 głosił program promienizmu; uczestniczył w przedsięwzięciach grupy „Der Blaue Reiter”; w nurcie awangardy pozostawał w opozycji do futuryzmu jako dadaista *avant la lettre*.

MATIUSZYN Michaił, 1831–1934, malarz, muzyk i kompozytor rosyjski, związany z grupą kubofuturystów „Hylaea”; mąż Jeleny Guro, przyjaciel i bliski współpracownik Małowicza.

MILICA, trzynastoletnia dziewczyna, której wiersze na prośbę Chlebnikowa, jako „zapowiedź przyszłości”, opublikowano w almanachu *Sadzyk, sędziów II*.

NASZA ODPOWIEDZ MARINETTIEMU, wieczór dyskusyjny zorganizowany przez petersburskich kubofuturystów 11 lutego 1914; prelekcje Liwszyca *Futuryzm włoski a rosyjski i ich wzajemne stosunki* i Luriego *Muzyka włoskiego futuryzmu*.

O WSKRZESZENIU RZECZY, tytuł prelekcji (w przekazie Liwszyca) W. Szkłowskiego w Szkole Tieniszewskiej 8 lutego 1914; wg Szkłowskiego (*Ze wspomnień*, Warszawa 1965, s. 122) wystąpienie było polemiką z artykułami Baudouina de Courtenay *Słowo i „słowo”* („Dzień” nr 49 z 20 lutego 1914) i *Przyczynek do teorii „słowa jako takiego”* i „literary jako takie” („Otkliki”, dodatek do gazety „Dzień” nr 56 z 27 lutego 1914), krytykującymi tezy wydanej na początku 1914 roku broszury Szkłowskiego *Wskrzeszenie słowa* i manifestów Kruczonycha i Chlebnikowa *Słowo jako takie* oraz *Litera jako taka*.

PIAST (właśc. Piestowski) Władimir, 1886–1940, rosyjski poeta, krytyk, tłumacz, memuarysta, przyjaciel Błoka.

ROCHFORT Henrii, 1830–1913, hrabia, francuski dziennikarz, polityk, po 1880 r. ideolog nacjonalizmu i antydreyfusista.

SADZYK SĘDZIÓW II, ukazał się w lutym 1913; uczestnicy — Guro, Matiuszyn, Chlebnikow (kilka poematów, drobne wiersze, proza), D. i N. Burlukowie, Liwszyc, Majakowski, Kruczonych; opracowanie graficzne — W. Burluk, a także Gonczarowa i Łarionow (ostatnie wspólne ich wystąpienie z grupą „Hylaea”); Kruczonych później zaprzeczał inkryminowanemu mu przez Liwszyca autorstwu cytowanych fragmentów manifestu w almanachu.

SIEWIERIANIN (właśc. Łotariow) Igor, 1887–1941, poeta rosyjski, egofuturysta; zbliżenie z nim kubofuturystów nastąpiło wcześniej niż to podaje Liwszyc; pertraktacje o przystąpienie do „Hylaei” Siewierianin rozpoczął na początku 1913 roku, 2 listopada 1913 Nikołaj Burluk i Chlebnikow wraz z Siewierianinem, Wasiliskiem Gnidowem i in. wystąpili na żeńskich kursach petersburskiego Instytutu Medycyny. Przyjaciółka Majakowskiego Sonka Szamardina (1894–1980) twierdzi we wspomnieniach, że zapoznała go z Siewierianinem jesienią–zimą 1913 roku.

SZERSZENIEWICZ Wadim, 1893–1942, poeta rosyjski, futurysta z grupy „Mansarda Poezji”, tłumacz manifestów włoskich futurystów; po rewolucji 1917 roku współtwórca imażynizmu; jego publicystyka zawiera liczne wypadki przeciwko Liwscycowi.

SZKOŁA TIENISZEWSKA (TIENISZEWKA) w Petersburgu, Szkoła Sztuk Plastycznych księżny Tieniszewej, zorganizowana na wzór angielskich college'ów; wynajmowała swoją salę koncertową na spotkania literackie i dyskusyjne.

TASTIEWIEN Gienrich, 1881–1916, sekretarz symbolistycznego czasopisma „Zołotoje Runo”, 1907–1909; delegat rosyjski w paryskim Societe des Grandes Conferences; organizator tournées Forta, Marinettiego i Verhaerena; autor jednej z pierwszych książek o futuryzmie — *Futuryzm: w drodze ku nowemu symbolizmowi* (1914).

VERHAEREN Emile, 1855–1916, pisarz belgijski, w Petersburgu przebywał 23–26 listopada 1913 r. („Bezpańskiego psa” nie odwiedzał); obficie tłumaczony na rosyjski m. in. przez Briusowa i Wołoszyna; ceniony m. in. przez Chlebnikowa i Majakowskiego.

WIECZÓR O „NOWYM SŁOWIE”, 8 lutego 1914 w Szkole Tieniszewskiej pod przewodnictwem Baudouina de Courtenay, którego polemika z manifestami Kruczonycha i broszurą Szklowskiego *Wskreszenie słowa* posłużyła za pretekst do zorganizowania wieczoru; dyskusję przeniesiono po prelekcji do „Bezpańskiego Psa”; por. *O wskreszeniu rzeczy*.

WIENGIEROW Siemion, 1855–1920, historyk literatury rosyjskiej, puszkiniści (jego uczniem i asystentem był m. in. Jurij Tynianow), twórca wielotomowych słowników bio- i bibliograficznych; brat Zinaidy Wiengierow, 1867–1941, krytyka i tłumaczki, która w zapisie rozmowy w Ezrą Poundem (almanach *Strzelec I*, 1915) wprowadziła do Rosji nazwę „imażyzm”; kuzynką Wiengierowa była matka Osipa Mandelsztama.